

Stado ogierów w Drogomyślu cz. I

Edward Tarkowski

Z zawodem morskim związałem się na zawsze i od 45 lat mieszkam w Gdyni. Tu założyłem dom i własną rodzinę. Wcześniej jednak miałem także inny dom - dom rodzinny, gdzie się urodziłem i ten dom był kiedyś najważniejszy. Było to bowiem gniazdo mojego urodzenia i wczesnego dzieciństwa. Urodziłem się w Drogomyślu. Moim ojcem był masztalerz w słynnym ongiś Państwowym Stadzie Ogierów. Pochodził z podkrakowskiej wsi. Matka była rodowitą Ślązaczka z Ziemi Cieszyńskiej.

Jako marynarz pływałem po morzach i oceanach przez 42 lata. Nostalgiczne resentymenty do miejsca urodzenia i wspomnienia z beztroskich lat dzieciństwa wypełniały pustkę i monotonię w moich długich morskich przelotach. Mijały lata. Ilekroć potem przyjeżdżałem na Śląsk, zawsze kierowałem swoje kroki pod bramy byłego Stada Ogierów. Przywodziła mnie pod znajome wierzeje jakaś wewnętrzna siła i wola, a może było to coś w rodzaju instynktu ptaka, który zawsze powraca do rodzinnego gniazda?

Zakradałem się pod mury Stada jak anonimowy i ciekawski intruz, przystawałem pod nimi w zadumie i wahałem się. Wejść do środka, czy nie wejść. Nie uczyniłem tego nigdy. Bo i po co miałem sobie psuć wizerunek z lat dziecińczych?

W znajomych stajniach nie było już pięknych ogierów. Teraz stały tam dorodne byczki.

DROGOMYSKIE STADO

A kiedyś? O czasy! Kiedyś było tu słycać nieustanne rżenie ogierów, stukot końskich kopyt, pokrzykiwania masztalerzy, turkot kół przeróżnych wozów i... ciszę, kiedy ogierów w Stadzie nie było, gdyż wyjechały wraz z masztalerzami na punkty kopulacyjne. Wówczas, od lutego do lipca, Stado przycichało. Nie było w nim ani ogierów, ani masztalerzy. Tylko ich rodziny mieszały tu same, zakwaterowane w mieszkaniach nad stajniami, w tzw. hotelu, w domu na Jaroszówce, w dobudówce do starej palarni i w domeczku pana koniuszego.

Wiele, wiele wyrazistych obrazów z dzieciństwa utrwaliło się w mojej pamięci.

Drogomyśl leży na północnym obrzeżu Ziemi Cieszyńskiej. Ongiś była to wieś szlachecka z zameczkiem i luterańskim kościołem. Począwszy od XV w. jej właścicielami były herbowe rody Gródeckich, Czelów, Bludowskich i wreszcie Kaliszów. Baron Kalisz, ostatni wolny Pan na Drogomyślu, sprzedał wieś księciu sasko-cieszyńskiemu Albrechtowi i odtąd wchodziła ona w skład jego dóbr, nazwanych potem dobrami Komory Cieszyńskiej. W herbie Kaliszów widnieje kotwica obramowana czterema gwiazdkami.

Od lat 20-tych tego wieku herbie Drogomyśla powinien być piękny, narowisty rumak. Nie jakaś podrzędna szkapina, lecz ogier rasy anglo-arabskiej, bo ten typ koni przeważał w stadzie ogierów, które powstało tutaj w 1924 roku. Jak to się stało? Otóż po I wojnie światowej dawny folwark Kaliszów, stanowiący część dóbr pohabsburskich, upaństwowiono i przekazano wojsku z przeznaczeniem na Państwowe Stado Ogierów. Zabudowania majątku idealnie nadawały się do tego celu. Skoncentrowano tutaj około dwóch setek ogierów szlachetnych ras, przede wszystkim dla rozrodu, bowiem młoda polska armia po I wojnie światowej składała się głównie z kawalerii. Dobrych koni potrzebowano nie tylko do tworzenia nowych pułków ułańskich, ale także do artylerii i innych formacji.



Młodziutki Romek Gągorowski,
pracujący w kuźni,
Drogomyśl 1939 r.

Masztalerzy obowiązywała częściowo dyscyplina wojskowa.

Składali zresztą przysięgę służbową wg ustalonej roty. Wielu z nich było wcześniej kawalerzystami w wojsku polskim. Wszyscy bez wyjątku byli umundurowani, a ciemnoniebieski kolor uniformów upodabniał ich do hallerczyków.

LUDZIE

W latach 1928 - 1939 dyrektorem Stada był oficer rezerwy, kapitan, a potem major Kajetan Kajetanowicz. Pamiętam też jego zastępcę Dubickiego, eleganckiego pana w muszce i z laseczką, w irchowych rękawiczkach - wyglądał niczym lord. Pamiętam koniuszego Woźniaka, sekretarza kancelarii Stada Ganca oraz nazwiska i sylwetki prawie wszystkich masztalerzy. Jednym z nich był mój ojciec. Jeszcze teraz, po wielu latach widzę ich żywe postacie, jakby ożyły na starej fotografii. Różnili się wzrostem, sylwetkami, temperamentem, ale wszyscy byli dobrzy w siodle i w sztuce powożenia. Te dwie umiejętności mieli opanowane do perfekcji.

Przełożonym masztalerzy był koniuszy Woźniak. Dosyć wysoki, tęgawy i jakby trochę przyciężki. Ale był łagodnym i wyrozumiałym szefem dla swoich podwładnych. Masztalerze szanowali go i odnosili się do niego z respektem, często w pozycji „na baczność” - taka była dyscyplina.

Pamiętam starego masztalerza Kowalskiego. Był wysoki, kostyczny i chodził lekko pochylony do przodu. Męczyła go astma, mimo to palił papierosa za papierosem. Przyjaźnił się z moim ojcem - byli rówieśnikami. Starszy syn Kowalskiego, Janek, był po wojnie dyrektorem Stada Ogierów w Sierakowie; zginął tragicznie, spadając niefortunnie z konia. Przeciwnieństwem Kowalskiego był masztalerz Matysik. Nieduży, przysadzisty, twarz okrągła, rumiana, pod nosem mały wąsik. Udawał elegancika i zarozumialca. Chyba nie bardzo się lubili z moim ojcem. Jeszcze inny był masztalerz Serafia. Niewysoki, drobnej budowy - taki cichy człowieczek. Za to wspaniale trzymał się w siodle. Nic dziwnego, miał predyspozycje fizyczne prawdziwego dżokeja. Podobnym do niego, tej samej budowy, był Wysłych. Taki rubaszny gadułka, chyba trochę sepleniał, wymawiał „r” jak urodzony Francuz. Miał ładną żonę i trzech synów. Z tych niedużych „kawalerzystów” byli także Bortlik i Gągorowski. Bortlika nigdy nie widziałem na końskim grzbiecie, bo był stelmachem. Pamiętam go jak w kolami toczył piasty do kół i rzezał szprychy. Miał pięciu synów. Jeden z nich, Karol, poszedł w ślady ojca i też był masztalerzem. Gągorowski natomiast chodził takim charakterystycznym truchcikiem. Zawsze się uśmiechał, miał pogodną naturę, należał do tzw. bardzo porządnym ludzi. Jego syn Romek, był nieco starszy ode mnie, kończył przed wojną gimnazjum. Po wojnie pracował w Koźlu, był wicedyrektorem stadniny w Rzeczej, piastował wysokie stanowisko w Min. Rolnictwa. Konefał z kolei należał do masztalerzy o wysokiej posturze. Miał blada twarz, zapadnięte policzki, mało mówił i rzadko się uśmiechał. Może miał jakąś chorobę, która go męczyła? Był dobrym furmanem, świetnie sobie radził z narowistymi ogierami w zaprzęgu. I kolegował się trochę z moim ojcem. Największym wesółkiem wśród masztalerzy był Samczak. Kawalarz ze skłonnościami do trunków Baczewskiego. Z tego powodu miał stałe kłopoty służbowe i ostrzeżenia. Zawsze przydzielano go mojemu ojcu, gdy wyjeżdżał z ogierami na stacje kopulacyjne. Te stacje były dosyć odległe od Drogomyśla. Zapamiętałem nawet nazwy tych miejscowości: Czermin, Radgoszcz. Oczywiście ogiery jechały tam w wagonach towarowych. Ładowano je z rampy na stacji kolejowej w Chybiu.

Niektóre znerwicowane czworonogi nie pozwalały się wprowadzić do wagonu. A gdy udało się już wepchnąć je na siłę do środka, były kłopoty z ich uwiązaniem. Tupwały kopytami o podłogę, uwalniały głowy z kantarów, wrywały haki do mocowania uwiązków i rżały jak opętane. Na szczęście takich niesfornych było mniej, znacznie mniej. Wyjazd ogierów na stacje kopulacyjne ekscytował także samych masztalerzy. Ale odbiegłem od ich prezentacji. Może należałoby przedstawić jeszcze kilku. Zasłużyli sobie na pamięć. Był tam także Mleczko, niesamowity pracuś. Powoził jak artysta, a był urodzonym koniarzem i kuczerem. Lejce i bat w jego rękach

współgrały ze sobą jak gra animacyjna na ekranie komputera. Muszę wspomnieć o masztalerzu Kędziorze. Był zwinnie, pięknie i miękko skakał na grzbiet konia, robił na nim nożyce, trochę się popisował. Zona pana Kędziora żyje i mieszka w Drogomyślu do dzisiaj. Nie wymieniłem wszystkich, a było ich wielu. Jeszcze

teraz widzę ich sylwetki na tle swoich ulubionych koni. Wszyscy bez wyjątku byli solidarni i zdyscyplinowani. Kochali te swoje konie, przemawiali do nich, mieli na nie swoje sposoby, aby je obłaskawić, udobruchać. Byli dumni, że się nimi opiekują. Ale mieli także swoje nieszkodliwe słabości. Np. do butów z cholewami, tzw. oficerek. Zamawiali je na miarę u miejscowych szewców, a potem była rewia, gdy je wciągano na nogi z okazji jakiegoś święta. Krawcy z kolei szyli im rajtki, czyli bryczesy. Konieczne ze skórzanymi flekami na tyłku. Taki mieli styl, może był to ich szpan? No i konkurowali ze sobą w tej kawaleryjskiej modzie.

Wszyscy już dawno nie żyją. Nie wiem, może ich duchy powracają tu jeszcze na jakieś niewidzialne zloty, żeby wyprowadzić swoje ogiery na cotygodniowe przeglądy, zwane wtedy wizytami, przez panów: koniuszego, weterynarza i dyrektora Kajetanowicza. Niestety od wielu lat nie ma już Stada Ogierów z mojego dzieciństwa.

DZIECIŃSTWO W STADZIE

Rodzice zajmowali dwuizbowe mieszkanie nad stajnią. Jako mali chłopcy mieliśmy nieograniczoną przestrzeń do zabaw. Nie byliśmy aniołkami, dlatego nasi ojcowie dosyć często łoil nasze pupy szerokimi pasami od spodni. Nie mam dzisiaj urazy do swojego nieżyjącego ojca za te cięgi, bo na nie wtedy zasłużyłem i należało mi się. Gdy padał deszcz buszowaliśmy po stajniach, wozowniach, pod wiatami i w szopach. Bawiliśmy się na dużym dziedzińcu, gdzie rosły stare kasztanowce. Były tam także ładnie przycięte trawniki, a wokół nich żywopłoty z grabiny. W tych żywopłotach, łamiąc gałązki, robiliśmy dziury, żeby się przez nie przecisnąć i czmychnąć przed wrzeszczącymi masztalerzami. Bo byli i tacy, którzy nas, małych łobuziaków prześladowali i straszili. Wyróżniał się wśród nich masztalerz

Tłoczek, kowal, stary kawaler o obliczu sadysty. Lubilem zaglądać do kolami, gdzie wspomniany już masztalerz - stelmach Bortlik preparował nowe koła, naprawiał wozy i coś tam zawsze majstrował ze swoim pomocnikiem. W tej kolami pachniało przyjemnie drewnem, a wióry leżały na podłodze po kolana. Można było w tych wiórach poszurać gołymi stopami, bo na bosaka chodziliśmy wtedy od maja do września.

Kogóż z chłopców nie nęci kuźnia? Mnie też nęciła, jeszcze jak! Ta była blisko naszego mieszkania. Królował w niej mistrz kowalski, poważny pan Gawłowski. Jeszcze teraz widzę go wyraźnie, jak w długim, skórzanym fartuchu rozgrzewa na palenisku podkowy do czerwoności. Wyciągał je z tego paleniska, poklepywał na kowadle, a następnie pasował do końskich kopyt w smrodliwym obłoku dymu. Na podwórzu przed kuźnią podkuwano czasem jednocześnie dwa ogiery. Jednego obsługiwał mistrz Gawłowski, drugiego wspomniany już postrach chłopców - Tłoczek. Wtedy przed kuźnią panował nieopisany zgiełk. Z kuźni dochodziły metaliczne odgłosy młotków, masztalerze rechotali opowiadając sprośne kawały, a przytrzymywane na uwięzi, nerwowe ogiery przebierały nogami, tupały i rżały niezadowolone. Atmosfera przed kuźnią wcale im nie odpowiadała. Podglądałem te scenki z bliska, póki nie odciągnęła mnie matka. Tłumaczyła, że chłopcy tu szkaradnie mówią, koń może kopnąć, no i okropnie tu śmierdzi przypalonymi kopytami.

Byłem z ojcem kilka razy w rymami. Czuło się tam zapach świeżo wygarbowanej skóry i konserwantów, używanych do smarowania uprzęży. Pamiętam wiszące na kołkach zwoje rzemieni różnej szerokości. Wisiały tam także popręgi, kantary, uzdy -przyniesione do naprawy, albo już naprawione. No i sporo siodeł do reperacji. Masztalerz i rymarz w jednej osobie, nazywał się chyba Linczowski, siedział na wysokim, podłużnym czwórnożu, z którego wystawały, jak głowa konia dwa zaciski drewniane ze śrubą do przytrzymywania skóry, zszywanej ręcznie dwiema dratwami jednocześnie „na krzyż”.

Najwięcej radości sprawiały mi wyjazdy z ojcem, kiedy wozem drabiniastym i parą ogierów jechał po siano do pobliskiej Dębiny (folwarku). Cóż to była za frajda, gdy wracaliśmy siedząc wysoko na furze siana. Ogiery w zrywnych podskokach parły do przodu. Pilno im było do stajni i ani myślały iść stępa. Ojciec hamował je lejcami, przywoływał do porządku modulowanym głosem, co miało oznaczać wolno, spokojnie, a co nie było takie łatwe, gdy z pyska, spod wędzideł ogiery prychały białą pianą.